

„Jak święta Agata ocaliła Leszczynek” autorstwa Eugeniusza Grzelaka

Było gorące sierpniowe popołudnie. Końskie zaprzęgi ciągnęły do zagród wozy pełne snopków pszenicy i żyta. Raz po raz słychać było wesołe pokrzykiwania woźniców, którzy pozdrawiali się tradycyjnym „Szczęść Boże!” Wracające kobiety w chustkach na głowach podśpiewywały: „Czerwone jabłuszko przekrojone na krzyż...” lub „W moim ogródeczku rośnie róży kwiat...”. Były zmęczone i zakurzone, ale szczęśliwe, że słońce kończy swą podróż po niebie, a to oznacza odpoczynek po ciężkiej pracy w polu. Żniwa miały się już ku końcowi i obfite tego roku zbiory były prawie w całości pod strzechami stodół. W glinianych obórkach bydło i świnie czekały na wieczorny oprzet.

Apolonia Kowalczykowa, mieszkająca na skraju wsi pośpiesznie weszła do chaty i szybko odłożyła do kołyski śpiące wciąż niemowlę. Jaś miał cztery miesiące, więc przezorna matka zabierała go ze sobą do żniw, by dziecko położone w cieniu było w zasięgu jej wzroku, a nie pozostawione samotnie w domu, gdzie na dodatek mogli porwać je Cyganie. Jej mąż zbierał jeszcze snopki na polu, a Apolonia wróciła do domu i zaczęła sprawnie rozpałać ogień w glinianym piecu, ale oderwało ją od tego kwilenie Jasia. Szybko podbiegła do kołyski i zaczęła bujać dziecko, ale marudzenie przechodziło już w płacz.

– A no tak – powiedziała – toć ty już dziecinko głodna. Czekaj tu chwilę, zaraz ci mleka od Krasuliudoję – dodała i złapawszy blaszany garnuszek, pobiegła do obory.

Niestety nie zwróciła uwagi na niedomknięte drzwiczki pieca, z których wydobywały się języki rozpalającego się ognia. Tuż obok pieca na stołku leżała lniana ścierka, której poszarpane brzegi szybko zaczęły się palić. Wystarczyła dosłownie chwila, aby płomienie zajęły cały stołek i stojący obok koszyk z chrustem i drewnem. Kiedy Apolonia wyszła z obórki z garnuszkami pełnymi mleka, zobaczyła kłęby dymu wydobywające się przez otwarte okno. Natychmiast zaczęła wzywać pomocy Boskiej i ludzkiej. Rzuciła się do progu, by ratować dziecko. Poczła gorący, duszący dym, ale zasłoniła twarz fartuchem i wbiegła bez zastanowienia. Dopadła do kołyski i razem z pierzynką chwyciła wrzeszczącego Janka. Nawet nie czuła oparzeń na nogach i rękach, kiedy wydostała się na zewnątrz i upadła na trawiaste podwórze.

W tej samej chwili złowieszczy dym nad chatą Kowalczyków zauważył kilkunastoletni Gienek Grzelak. Na szczęście wiedział co robić. Ile sił w nogach pobiegł do zagrody mieszkającego w środku wsi sołtysa. Tam, przed wejściem do domu powieszono duży dzwonek. Miał on ostrzegać mieszkańców przed niebezpieczeństwem pożaru, bo ogień nieraz już strawił kryte słomą, łatwopalne zabudowania w Leszczyнку. Gienek złapał za linkę i z całej siły zaczął dzwonić. Zaalarmowani mieszkańcy natychmiast rzucili się na pomoc Kowalczykom. Mężczyźni, stojąc

jeden przy drugim, podawali wiadra wody ze studni. Ale chaty nie było już można uratować. Całe ściany i dach stały w płomieniach. Poza tym paliła się stodoła pełna zboża i obórka, z której sąsiedzi zdążyli wyprowadzić zwierzęta. Pogorzelnicy lamentowali i płakali nad nieszczęściem, które ich spotkało. Ale dramat całej wsi dopiero się zaczynał. Wieczorem nad Leszczynkiem zerwał się silny wiatr, który przeganiał ogień na sąsiednie gospodarstwo Walczaków. Mieszkańcy byli przerażeni, bo gęsta zabudowa wsi groziła kataklizmem kolejnym gospodarstwom znajdującym się po lewej stronie drogi w kierunku Kutna. Sytuacja pogarszała się z minuty na minutę. Na niewiele zdała się nawet Straż Pożarna, która konnym wozem przyjechała z Kutna. Widząc zabudowania stojące w ogniu oraz wciąż nasilający się wiatr, postanowili ratować następne gospodarstwa. Polewali więc wodą kryte strzechą dachy gospodarstw, do których ogień się zbliżał. Żywioł zniszczył już dwie zagrody i zagrażał trzeciej.

Był to dom Stachowiaków. Cała rodzina pomagała straży polewać budynki wodą, ale wiatr nieuchronnie gnał pożar w ich stronę. Zwierzęta zostały już wyprowadzone, ale przecież w stodole znajdowały się tegoroczne zbiory! Franciszka Stachowiakowa stanęła w domu, który jej ojciec zbudował własnymi rękami i zaczęła modlić się do Najświętszej Pani o ratunek. Wówczas przypomniała sobie o świętej Agacie, która chroniła od pożarów, bo sama zginęła męczeńską śmiercią na rozżarzonych węglach. Przecież kupiła jej poświęcony wizerunek na ostatnim odpuszczeniu w parafii świętego Wawrzyńca w Kutnie, tylko jeszcze nie zdążyli go powiesić na ścianie. Czym prędzej sięgnęła do skrzyni i wyjęła obraz. Wybiegła na drogę i zawołała do zgromadzonych kobiet:

– Chodźcie tu prędzej! Będziemy do świętej Agaty modlić się o ratunek!

Trzymała obraz w rękach, podniosła go wysoko w kierunku pożaru i zaczęła głośno wołać:

– Święta Agato, pomóż nam! Święta Agato, módl się za nami! Święta Agato, ratuj nas!

Kobiety stanęły za obrazem i zaczęły powtarzać z mocą słowa prostej modlitwy. Czują na twarzach silne powiewy gorącego od ognia wiatru, gryzący w oczy i gardło dym oraz popiół, ale nie rezygnowały. Ludzie byli bezsilni w obliczu żywiołu, coraz więcej osób przyłączało się więc do błagalnych modlitw. Święta Agata spoglądała z obrazu na trawiące ludzki dobytek płomienie. Uśmiechała się łagodnie i lekko przechylała głowę przyozdobioną dziewiczym wiankiem. W prawej ręce dumnie trzymała palmę męczeństwa, a w lewej misę z solą. Solą, która miała moc tłumienia ognia.

Niebiosa wysłuchały wołań prostych, pobożnych ludzi. Silny wiatr, który zagrażał przenoszeniem się pożaru na kolejne gospodarstwa, zaczął zmieniać kierunek na wschodni, a po chwili ucichł zupełnie. Mieszkańcy Leszczynka klękali przed wizerunkiem świętej Agaty i dziękowali za ocalenie. Nawet strażacy zdjęli hełmy i z szacunkiem pokłonili się przed obrazem.

Dwa gospodarstwa spłonęły niemal doszczętnie, ale reszta wsi została uratowana. Leszczynianie solidarnie pomogli pogorzelncom odbudować zagrody i dzielili się z nimi, czym mogli.

Cudowny obraz świętej Agaty postanowiono zawiesić na przydrożnym krzyżu w środku wsi, żeby już zawsze wstawiennictwo męczennicy chroniło Leszczynki od pożarów i innych nieszczęść.

Pod nim widniał napis: „Gdzie święta Agata, szczęśliwa chata”, a cała wioska zbierała się tam, wznosząc dziękczynne modlitwy w każdą rocznicę tragicznego pożaru. Niestety nie wiadomo, jakie były dalsze losy cudownego wizerunku. Jednak aż do dzisiaj pozostała w Leszczynku tradycja majowych modlitw i śpiewów przy przydrożnym krzyżu.